

Kronika tygodniowa.

Drugą kronikę w roku 1915. miałem początkowo zamiar poświęcić wywiadowi z moimi specjalnymi wysłannikami, o których poprzednio wspominałem, przyznam się jednak, że zawiódłem się na nich, pokazuje się bowiem, że żaden z nich nie widział w czasie swej podróży Moskale i to nie tylko żywego, ale nawet takiego bez głowy, z puszki (wyrob p. Warhanka w Mszanie Dolnej).

Temu ostatecznie się nie dziwię. Gdyby Moskale (ci żywi) byli wiedzieli, że tak ich honoruję, iż wysyłam za nimi osobnych sprawozdawców, nie byłiby z pewnością tak szybko z pod Krakowa uciekali. Narzekają podobno na Kraków, a jeden z ich oficerów miał się wyrazić do pewnego obywatela w te słowa:

— Dajcie wy się wypchać ze swą staropolską gościnnością! My przychodzimy do was, a wy nas przyjmujecie drutami kolczastymi, wilczymi dołami i armatami! Pfe!...

Ma rację! Zwłaszcza spotkanie z „grubą Bertą” lub takimże „wujkiem” nie musiało być wcale przyjemne.

Że zaś brakło także Moskale „bez głów”, tych z puszki, i to łatwo zrozumiałe. Zjedli je ci żywi, cieszący się, jak wiadomo, niezgorszym apetytem i takież pragnieniem, skoro, jak twierdzi *Nowa Reforma*, jedzą nawet bakterie dyftery i popijają alkohol denaturowany... Ja tam lubię też zjeść coś egzotycznego i popić... dużo i dobrego, na coś podobnego przecież bym się nie pisał, wobec czego życzę im „smacznego” i radzę, by już pod Kraków nie wracali, widocznie powietrze im tu nie służy.

Radzę, by powoli rozpoczęli odwrót w kierunku Petrogradu, wojna bowiem, zdaje się, zaczyna już się zbliżać ku końcowi, jak to miałem zaszczyt zaznaczyć w poprzedniej kronice, narzekając przytem niesłusznie na panią Thèbes, iż dotąd przepowiedni na rok 1915. nie ogłosiła. Tak jednakowoż nie było, owa tajemnicza „czerwona książeczka” znajdowała się już w handlu księgarskim, tylko my o niej nie jeszcze nie wiedzieliśmy.

Przemówiła więc... wieszczka... Balaama!

I cóż ona mówi? Przedewszystkiem więc, zadając kłam temu, co już w poprzednim roku powiedziała, nazywa rok 1915. rokiem mglistym, co zresztą, jak dotąd, spełnia się w zupełności, mgły bowiem panują prawdziwie londyńskie, a zima, pożałujcie Panie Boże, więcej podobna do kiepskiej wiosny z deszczem, błotem, katarami i influenżą, niż do dawnej polskiej mroźnej zimy!

Ale może to i lepiej! Dawniej chodziło się o tej porze w futrze i czapie, nasuniętej na oczy, skąd tu zaś wziąć tego roku „jesiotry” skoro one w lombardzie, a lombard „wywakuował” się do Wiednia? Zupełnie wystarczy lekki gumowy płaszcz, o ile możliwości przeżyczysty.

Wracajmy jednak do pani de Thèbes i jej przepowiedni.

— O wspaniały kraju! — woła paryska wróżka. — Jakżeż niesłychane czekają cię zmiany po wojnie! Przed mglistą zasłoną, jaka się rozściela memu wzrokowi, czuję oto: gdy słońce dobiegnie trzeciej części swojej drogi, przestanie krew twa płynąć! Ale za jaką cenę? Oczywiście nie za tę, o jakiej ty myślisz! Miej się na baczności! Przeznaczenie twoje czyha na ciebie, gdy rozpoczną się rokowania!

Jak z tego więc widać, z pozyskania Alzacy i Lotaryngii przez Francję będzie wielka figa, o ile naturalnie pani Thèbesowa się nie pomyliła. Zakończenie wojny przypadłoby na koniec kwietnia, co daj Panie Boże! Żałuję tylko, że wyraźniej nie oświadczyła się „jasnowidząca”, podając „mgliste” przepowiednie, zacząłbym bowiem już teraz spekulować na giełdzie, gdybym wiedział, kto ostatecznie będzie prawdziwym zwycięzcą, kto zaś zwyciężonym.

Mietek z „pod Obrazu”, który polityką ciągle się zajmuje i wszystkie pisma czyta codziennie od deski do deski, powiada wprawdzie, że zwycięstwo musi być po naszej stronie, jabym, aczkolwiek bardzo go cenię i ze zdaniem jego zawsze się liczę, wołał przecież, by to samo powiedział mi ktoś więcej fachowo w polityce „robiący”, n. p. pan Berchtold lub Bethmann Hollweg. Ostatecznie liczyłbym się nawet ze zdaniem pana Pasicza, choć do jego zdolności kombinowania w sprawach politycznych nie mam wcale zaufania.

Wierzę jednak, że rok 1915. będzie „mglistym”, wnoszę to zaś z nastrojowych powitań Nowego Roku, jakie pomieścili koledzy po piórze w różnych „ismach” codziennych. Niektóre były tak żalosne, iż mnie samemu, gdy je czytałem, na płacz się zbierało,

a już najboleśniej dotknęła mnie wzmianka, (czytałem ją na własne oczy), iż bieżący rok będzie miał aż pięćdziesiąt sześć tygodni, gdy nieboszczyk, który w dniu Sylwestra, został pogrzebion, miał ich tylko pięćdziesiąt dwa.

A byłoby chyba wskazaniem, aby właśnie ten rok, jako bezwarunkowo cięższy, był właśnie krótszy. Gdyby tak funkcjonował parlament, możnaby wnieść odpowiednią interpelację, możeby się udało! Teraz, we wojennym czasie, nie da się zastosować nawet tak wszechmocny paragraf, jak czternasty ustaw zasadniczych!

Pozatem w ubiegłym tygodniu wyczytałem jeszcze i drugą wróżbę o końcu wojny, a ponieważ jest ona bardzo ciekawą i bardzo wiarygodną, pozwolę ją sobie dosłownie przytoczyć, z dodatkiem, iż nie zaczerpnąłem jej z żadnego pisemka brukowego, ale z organu poważnego, odgrywającego wybitną rolę w życiu politycznym Krakowa.

Brzmi ona, jak następuje:

„Jedną z plag, najbardziej dokuczających stojącym w polu żołnierzom, są znane białe pasorzyty, które się plenią w białiznie i odzieży. Wielkość ich dochodzi niekiedy do rozmiarów wprost niewiarygodnych. Otóż, na tle dokuczliwości tych pasorzytów, będących nieodłącznym udziałem wojska, ustaliła się wśród żołnierzy rosyjskich wróżba o końcu wojny. Z początkiem wojny są one drobne, w miarę przedłużania się wojny wielkość ich rośnie, aż dochodzi do rozmiarów ziarna bobu(?), jak to było w ostatnich dniach trwania wojny japońskiej. Pewien jeniec rosyjski, Polak, rezerwista, który brał udział w wojnie japońskiej, wróży, że wojna obecna nachyla się już ku końcowi, wielkość pasorzytów dosięga bowiem obecnie w szeregach rosyjskich rozmiarów ziarna grochu!”

Nie wiem, kto jest odpowiedzialnym autorem owej zoologiczno-strategicznej rozprawy, życzę mu przecież, by się słowa jego spełniły, a on, w nagrodę za dobre słowo, aby był wolnym od gościny tych miłych zwierzątek, zwanych u nas pospolicie „blondynkami”, dla odróżnienia od „brunetek”, które lubią się gnieździć za falbankami, koronkami i t. d. a odznaczają się zawsze daleko ognistszym temperamentem.

Obie więc przepowiednie, tak pani de Thèbes, jak i owego nieznanego przyrodnika stratega, zgadzają się na jedno, to jest, że wojna powinna się skończyć i to już bardzo prędko, zdaje się zaś, że nie znajdzie się nikt między nami, kto by powiedział „veto”. (Chyba jaki przemysłowiec lub przedsiębiorca, który robi dobre interesy na wojnie!... przyp. zecera).

Sylwestra spędziliśmy tego roku dość wesoło, choć nie tak znów, jak po inne lata, gdy wojna nie gryzła nas za kohnierzem, a dusza ze strachu nie siedziała na ramieniu. Dzięki pozwoleniu komendy twierdzy lokale otwarte były do drugiej rano, więc i dość takich, którzy w dzień pierwszego stycznia narzekali na „kacenihammer” jeszcze z ubiegłego roku. To tylko bieda, że nie dawano szampana na kredyt, tłumaczyć się, iż na to nie pozwala... moratorium!

Na ogół przecież bawiono się wszędzie, tylko ja siedziałem spokojnie w domu, nie mając zaś nic innego do czytania, studiowałem „listę zaginionych” w *Kurjerku* i dowiedziałem się z niej, iż w dniu 24. b. m. zginęła koza szara bez rogów.

Ogromnie mnie to zmartwiło, na ogół bowiem lubię bardzo „kozy”, o ile one są młode i... chodzą na dwu nogach. Ale proszę o tem nie mówić mojej żonie, gdyż stara zrobiłaby mi egipską awanturę, a ja tego bardzo nie lubię, jako przyjaciel zdezonizowanego kedywa.

Także nadzwyczaj zainteresowała mnie notatka, iż w dniu szóstego stycznia odbędzie się w Krakowie spis ludności cywilnej i bydła rogatego. Zastanawiałem się nad tem, czy też pod tą drugą rubrykę nie będą podciągnięci mężowie, którym, dzięki ich małżonkom, rosną rogi na głowie.

Pytałem się o to nawet w magistracie, ale nikt mi nie umiał wytłumaczyć.

Atmosfera wojenna, jaka ogarnęła świat cały, nie wszędzie jednakże wywołała skutki.

W Anglii na przykład sufrażystki, które w czasie pokoju tyle swoim tyranom robiły kłopotu, jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej, uspokoiły się. Cała ich energia ogranicza się obecnie na odbywaniu zgromadzeń, podczas których nawołują męczyzn do męstwa i wstępowania w szeregi, wrzeszcząc: „Pokażcie teraz, co potraficie!”

Zawiódłem się na nich srogo. Byłem pewny, że na pierwszy ogłos wojny wystawią co najmniej ze dwa pułki amazonek, pokazało się przecież, że nie taki dyabeł straszny, jak go malują. Zupełnie co innego staczać walki uliczne z konstablami, co innego zaś zajrzeć w oblicze prawdziwemu wrogowi, który gotów

się nie powodować żadnymi względami galanterii wobec kobiet.

Niewiasty angielskie okazały w ten sposób wiele sprytu i zmysłu praktycznego, być jednak może, że na ostudzenie zapału wpłynął chłodny klimat tamtejszy.

Przemawiałyby za tem okoliczność, że, im dalej na południe, tem wojowniczość niewiast wzrasta, czego i ja sam już na sobie doświadczyłem. Gdy ongiś mieszkałem na Szlaku, więc w północnej okolicy Krakowa, zaczęła moja Weronisia tak się gwałtownie uspokoiła, iż zacząłem się nawet obawiać, czy przypadkiem nie słaba. Lekarza przecież nie wzywałem, nie chcąc wywoływać wilka z lasu, wiem bowiem dobrze, że każdy z nich, choćby był zdrow zupełnie, niech cię tylko zacznie pukać, macać, obśluchiwać, wynałdzie zaraz cały tuzin chorób, zapisze łokciową receptę i powie jeszcze na odchodnym:

— Cóż szczęście, że wezwano mnie dość wcześnie!... Sądję, że uda mi się jeszcze pacjentkę uratować!...

Skoro jednak przenieśliśmy się w rok potem na południe, to jest na Podgórze (co, oby było nigdy się nie stało!), babsko odżyło i zaczęło zaraz okazywać swój temperament i to tak ognisty, że kilka razy byłem wówczas zapuchnięty. Przyjaciele moi uwierzyli jednak, iż są to skutki gwałtownej fluksy. Jeden tylko uśmiechał się niedowierzająco pod nosem, widocznie, jako sam żonaty, domyślił się wszystkiego.

Otóż, co do owego wpływu temperatury na temperament, to wspominałem już w jednej z poprzednich kronik, iż „słeczne” Domażliczanki poturbowały srodze handlarzy i przekupniów, którzy, korzystając z wojennych czasów, gwałtownie im ceny produktów spożywczych wyrubowali. Uważałem to za ich zasługę, jestem bowiem tego zdania, że żołądek jest najważniejszą częścią ciała ludzkiego i że o nim należy pamiętać.

Obecnie, jeszcze dalej na południe, bo w którymś z miast tureckich, powtórzyło się to samo, z większym jednak nasileniem. Ogniste córki Mahometa obraziły się także na kupców, którzy podnieśli cenę artykułów spożywczych i urządziły im mniej sympatyczną owacę, obrzucając bazar kamieniami.

Gdy się o tem dowiedział miejscowy wali (podobno dlatego tak się nazywa, iż wymierza doraźnie sprawiedliwość), wysłał zaraz na miejsce straż bezpieczeństwa, przed którą jednak nie cofnęły się rozżalone, a podrażnione obywatelki, owszem, pojawienie się siły zbrojnej było jakby dolaniem oliwy do ognia. Bombardowanie wzmożło się tylko. Już straż miała zrobić użytek z broni, gdy wtem stało się coś nadspodziewanego!

Turczynki poczęły zrywać z twarzy zasłony, następnie zdejmować ze siebie pospiesznie szaty, nic sobie z tego nie robiąc, iż to ulica i przechodnie na nie patrzą.

Ale właśnie w ten sposób dopięły swego celu. Koran nie pozwala żadnemu prawowiernemu Muzułmaninowi spojrzeć na publicznym miejscu na „niezawołowaną” kobietę, nabożni więc policyjanci, strośkani o swe zbawienie, poodrzucali karabiny, pokrywali dłońmi oczy i pierchnęli w popłochu, waleczne zaś niewiasty dokończyły dzieła zniszczenia, zwłaszcza, że już suknie (choć nie noszą takich wązkich, jak nasze panie) nie przeszkadzały im w ruchach.

Czy podobna manifestacja mogłaby się u nas udać, wątpię, klimat bowiem jest może nieco za ostry, a i nasi stróże bezpieczeństwa, aczkolwiek noszą na piersiach półksiężyc, zasadami Koranu się nie powodują.

Chyba, gdyby demonstrantkami były niewiasty stare i brzydkie. Wówczas i ja sam, aczkolwiek ongiś okazywałem pewną słabość względem płci nadobnej, pierchnąłbym w popłochu, niczem ów biblijny Józef, który tak gwałtownie zmykał przed wybuchami uczucia czcigodnej, lecz nieco już podstarzałej, *madame* Putyfary.

Karnawał już się rozpoczął, sądę przecież, iż u nas nikt chyba bawić się nie będzie, co najwyżej, tu i ówdzie zaproszą się gorąco na ciepłą herbatę z zimnymi paczkami, o ile *nota bene* jesteś kawalerem a w domu są panienki na wydaniu, które bodaj cichaczem, chciałyby się wytańczyć.

Nie dowierzam przecież tym młodzianom, którzy w mieście pozostali, są to bowiem same tak zwane „unfermy”, skoro nie wzięto ich pod karabin. Kto zaś nie jest zdolnym do służby wojskowej, ten *eo ipso* nie nadaje się i do stanu małżeńskiego, będącego, jak wiadomo, ciągle pogotowiem wojennym.

Do tego tematu wrócimy niebawem, karnawał, nawet w czasie wojennym, ma swoje prawa.

